№ 4.

WARSZAWA DNIA 14/26 STYCZNIA R. 1867



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, **na prowincji i w Cesarstwie** *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

URYWKI

SPISANE Z PAMIĘTNIKÓW JANA BUGAJA

Z KOŃCA WIEKU XVII.

(Dokończenie).

VIII.

NARADA WYSZYŃSKICH.

Syn Porębskiego na prawdę leżał w wielkiéj niemocy. Po spowiedzi odmieniło mu się cokolwiek, ale w kilka dni znowu zapadł jeszcze gorzéj. Widać co młodość ze śmiercią pasowała się i do ostatniego tchu broniła od porwania. Ojciec wychudł, wymizerniał, matka jak cień została, bo choć mieli jeszcze córkę Marysię, ale syn Jędrzéj był dwojako jedyny, jako jedynak i jako dziecko, w chorobie które zawsze bywa w tedy najlepsze i najukochańsze. Wszelakiego ratunku nie żałowali, różnych ratowników sprowadzali Bóg wie nie z jakiéj strony, dawali nawet na nabożeństwo do Przemienienia Pańskiego, ale wszystko nic nie pomagało, chłopczysko z dniem każdym przybliżał się do mogilnego dołu. Wyszyńscy niezmiernie posmutnieli, tymbardziéj jeszcze, gdy się dowiedzieli, że Jędrzejek zaszedł w chorobę z przeziębienia przy pilnowaiu lasu, w którym musiał się oganiać przed szkodą, jak dziad kijem przed psami, — bo bez téj ostrożności wszystko pono wyszłoby na marność.

— To trocha zabójstwem pachnie — każdy Wyszyński szepnął sobie w myśli — zła sprawa do djaska, i można za nią odpokutować jeszcze w tem życiu.

I szepcząc tak każdy kręcił głową, wzdychał i dusił żal w sobie, a gdy jeszcze proboszcz na niedzielnem kazaniu zrobił przytyk do nienawiści sąsiedzkiéj zwąc ją pogaństwem i największą przeszkodą do zbawienia, po Wyszyńskich przeszły dreszcze, jakby im śmierć w oczy zajrzała. I znowu zaczęli kręcić głowami, wzdychać i w zebraniu wieczornem w karczmie odezwał się najzapalczywszy pan Marcin:

— Zle mospaneńku, bo pono Jędrzejek od śmierci się nie wyprosi. Co prawda że kostnica ta w zęby ludziom nie zagląda i chlaszcze co jéj stanie na drodze, jak kośnik po trawie, ale zawsze mospaneńku, w przejrzałem trawsku kosa tylko gruchocze jakby śmiechem, a w młodocianéj bryzga rosą niby łzami. Żal rodzicielski to nie furda, ale płaczem śmierci nie przekupi, dogoni ona najprędszego, przepłynie morza, przejdzie góry niebotyczne, a nikogo niepominie.

— Oj! prawda panie sąsiedzie — odezwał się p. Wojciech — ale cóż na to poradzi?— kto nią wzgardzi to staje się dopiero wszystkiego panem.

— Łacno to mówić o wzgardzie śmiercią, ale dokonać trudno — wtrącił p. Józef—ale już ze wszystkich śmierci to najokrutniejsza gwałtowna, w któréj człowiek nie ma czasu pojednać się z Bogiem i przygotować jak wypada na drogę wieczności.

— Ej! mój sąsiedzie, żadnéj lekkiéj śmierci nie ma — wyrzekł inny Wyszyński — wszystkie pono ciężkie i męczące.

— Mówią ludzie że przez utopienie to najlżéj schodzić ze świata. Co prawda nie probień ja tego, ale tak ludzie mówią.

— Ej! to takie ludzkie mądrowanie.

— Ha! dla pijaków mospaneńku co często lubią

podpić i dla pyszałków co dążą do wywyższania się, to może to być z prawdą.

— A może — może — potwierdzili inni a p: Wojciech dodał.

— Ej! to tylko taka ludzka gadka, nikt umrzeć nie ma ochoty, i dlatego to żadna się śmierć ludziom nie podoba.

— No ani gadania, bo śmierć jednych ściska, drugim łzy wyciska....

— Dodajcie jeszcze, że nie idzie tam gdzie proszą, tylko gdzie się boją.

— Oj! psotnica to psotnica moi sąsiedzi — mruknął z westchnieniem p. Józef — każdym w zawadzie wszystkim stoi na zdradzie.

— Nie każdemu mospaneńku, nie każdemu, — odezwał się na to p: Marcin — bo nie zabajczajcie, że gdy jednym oczy i gębę zawiera, to drugim skrzynie bez klucza otwiera.

— Cudakuje ona różnie, ale to najgorsza sprawa, że przeciw śmierci nie ma ziela ani zamówienia.

— Zle mówicie panie sąsiedzie, bo są leki i na nią w modlitwie. W niéj ratunek nikogo nie chybi, modlitwa wszystko zmoże i każdemu dopomoże.

— A gdybyśmy mospaneńku Porębskiemu tym ratunkiem niebieskim dopomogli? — odezwał się p: Marcin — w sąsiedztwie należy pomoc każdemu, a kiedyśmy się z nim tyle nienawiścią nawojowali, sprobujmy teraz iść do niego z pomocą Boską. Chorobie téj my trochę winowaci, przemódz ją nie w naszéj sile, ale prosić Boga za wstawieniem się Najświętszéj Panienki, ze szczerością i poczciwością, to każdy z nas potrafi.

— A któżby to odrzucał? — mruknęła szlachta ze wzdychaniem dziwiąc, się w myśli takiéj odmianie p: Marcina, który do wszelakich prześladowań Porębskiego był zawsze pierwszym, aż do onego wieprza co go duchem na dzika chcieli przerobić.

— My nie od tego — mówili daléj — i co wypadnie to wszystko zrobiemy jak przynależy.

— To kiedy w was mospaneńku panowie bracia i sąsiedzi nie ma w tem przeciwności, to złóżmy się na Mszę św: ze śpiewaniem i graniem a potem z suplikacjami, na intencją chorogo Porębczyka. Może też Najświętsza Panienka modleniem naszem uprosi Syna Swego Jednorodzonego, o odmianę w strapieniu Porębskiego. Wreszcie profit z tego złóżmy na wolą Bożą, opieka to najlepsza i dla sieroty i dla bogacza i dla nędzarza, i my jesteśmy ojcami i my mamy dziatki, to każdy zna jaki żal ściska serca, gdy śmierć po jedno z nich do drzwi kołacze.

Mówiąc to p. Marcin, poniósł rękę do oczu, bo pono łza w nich zaświeciła, a szlachta westchnęła i w zamyśleniu pokręciła wąsy, bo każdy wspomniał sobie na domową gromadkę, co choć huczkami i wrzawą dom cały kotłoszą, to znowu szczebiotem i igraszką, starość młodzą i krzepią. Po chwili cichéj zadumy i wędrówce myśli ku niebiosom, rzekł p: Marcin cichszym głosem, jakby przez żal i łzy przykorzonym:

— Kiedy więc panowie bracia jedna w nas gotowość do pomocy w strapieniu Porębskiego, co mamy zrobić róbmy pospiesznie, bo mospaneńku wedle rozumu starych ludzi, ten w dubelt ratuje, co pośpiechu nic szczędzi. Dziś się deklarujmy i dziś zaraz z wiadomością ślijmy do proboszcza.

— Ej! czy ta dziś, czy jutro to wszystko wraz, bo tu intencja prym wiedzie przedewszystkiem — rzekł p. Józef, ale mu zaraz przerwał p. Wojciech mówiąc:

— O! mój sąsiedzie przebaczcie, ale intencja idzie z pomyślenia, a modlitwa z nabożeństwa. Pomyślenie błąka się pomiędzy ludźmi, a modlitwą człek sięga ku niebieskim podwojom. Nabożeństwo bez intencji zawsze wiela znaczy, a intencja bez nabożeństwa, to jak trajkotka w ręku dzieciaka, co szumu z niéj i tartasu wiele a pożytku żadnego.

Pan Józef chciał coś na to odrzeknąć, bo się zaczerwienił i poprawił pasa, ale przerwał pan Marcin:

— Dajta pokój panowie sąsiedzi, to księże sprawy mospaneńku. Nam należy zachowywać zwyczaj, a zwyczajem naszych ojców było, naprzód ofiara a potem w te pędy dokonanie. Więc i my tak zróbmy i dajmy na wotywę o przemienienia Pańskiego, za wstawieniem się św. Marcina, co pomieszczony w bocznym ołtarzu.

Szlachta nic na to nie odrzekła, tylko chrząknęła jakby z kaszlu i jeden po drugim spojrzał niby spodziewając się że cóś przemówi. Widać że wybór patrona do wstawienia się nie wypadł po ich myśli, bo każdy radby był swemu świeczkę zapalić, a tu pan Marcin ubiegł wszystkich. Wnet też to pomiarkował p. Marcin a widząc że przy gromadzkim ogniu nie upiecze przysługi dla swego patrona, rzekł:

— Świętego Marcina moi sąsiedzi wybrałem w téj okazji nie z namysłu, ale z wypadku że obraz jego w bocznym znajduje się ołtarzu. Święci Pańscy lubią adoracje, ale dobrowolne, nie trafunkowe ani podstępne.

— Według mojego pomiarkowania — odezwał się p. Józef — to wypadałoby do św. Jana wystosować nabożeństwo, co w wielkim znajduje się ołtarzu, jako patrona samego Porębskiego.

— Albož to stary Porębski chory, żeby jego patrona turbować i niepokoić? — zapytał p. Marcin z żywością.

— To dajmy do św. Doroty, patronki saméj Porębskiéj — białogłoskie serca wnetki poznają się i na boleść znajdą zaradę.

— Kiedy nie wypada posługiwać się św. Janem, to i św. Dorotę należy w spokojności zostawić—odezwał się p. Wojciech — a nabożeństwo ofiarujmy św. Andrzejowi jako patronowi chorego.

— Sprawiedliwie — sprawiedliwie — pospołu zawołała szlachta i zagwarzyła radośniéj że przełamała sęk z którym nie wiedziała jak sobie poradzić. Jeden tylko Florek Wyszyński co nie dzielił tego rozweselenia. Siedział w zamyśleniu na ławie o stół oparty plecami i gryząc słomkę w ustach. Że zaś był to człek nie o młokosich latach, ze szpakowatym włosem, z dobrem pomyśleniem i ze znajomością wszelkiéj praktyki kościelnéj, więc wszyscy zwrócili na niego oczy a potem zapytanie, co trzyma o ich radzeniu.

— Moi sąsiedzi — rzekł po chwili z wielką powagą, grubym i wolnym głosem — skarbienie łaski swego Patrona maže grzechy a otwiera niebieskie wrota. Ale w tem wypadku patronom Porębskich nie ma co uprzykrzać się, bo ich tam pewno dobrze molestują sami Porębscy. Dawać na paciorki czy modlenie do innych świętych, nie wypada, bo każdy winien swemu wiernie służyć i w nim szukać obrony

i pomocy. Między patronem ojca a patronką matki wybierać także się nie godzi; święty Andrzéj do chorego syna należy, więc i tak ma nad nim opiekę jak wypada.

Rzekłszy to Florek umilkł i jakby się namyślał zamknął oczy.

— To mospaneńku — odezwał się p. Marcin widząc że wszyscy pomilkli —dajmy do przemienienia Pańskiego za wstawieniem się wszystkich Swiętych. Tym sposobem ubliżenia żadnego nie będzie...

— Ho — ho — ho! — przerwał p. Józef — na takie wstawienie się to trzebaby większéj jak nasza gromady. Bo jak ofiara nasza pójdzie w taki wielki podział, to i po szelążku jednemu się nie dostanie, a przecieć dziadowi pod kościołem, a na paciorki, cały grosz składa się na ofiarę.

— A jużcić — prawda — prawda — potwierdzili wszyscy — nie wypada, nie wypada.

— Kiedy nie wypada—mruknął gniewnie p: Marcin — to radźta sami mospaneńku, bo ja już nie mam głowy.

Wtedy wszyscy zwrócili się do Florka Wyszyńskiego, który właśnie otworzył oczy z zamyślenia i rzekł:

— Wszyscy święci patronują ludziom, a na prośbę do nich mamy oddzielne litanje. Pojedyńczy święci nie mają tego przywileju, więc im przystoi samotne proszenie. Nad wszystkiemi chwałą się wznosi Najświętsza Panna królowa nieba i naszéj ziemi, i Jéj to nadsługują chóry świętych i archaniołów. Dajmy więc na nabożeństwo do Najświętszéj Panny Szkaplerznéj, opiekunki naszego bractwa a ta królowa nasza przyjmie pokorne nasze błagania, i jeżeli nie da zdrowia młodemu Porębskiemu, to udzieli pociechy strapionym ojcom, więc pragnieniu naszemu zadość się stanie.

— Otóż to mądrze i poczciwie — zawołane powszechnie — bo dać na nabożeństwo każdy umie, ale dać tak, żeby z tego wypadło jak najlepiéj, to trzeba głowy i dobrego pomyślenia. Bóg wam zapłać panie Florjanie, mądre słowo to i maluśkie dziecko zrozumie.

KORRESPONDENCJA Z PARYZA.

Francuzki genjusz dramatyczny wyraźnie znajduje się obecnie w chwili przejścia do sławy i znaczenia, przy których ocknięty duch Szekspira czuwa, aby roztworzyć podwoje i wprowadzić w nie nowych szermierzy myślicieli. Niektórzy tetryczni pism waszych korrespondenci, w poziomych utworach przepełniających tutejsze teatra, przynoszących jednak miljony w zysku antreprenerom, gwałtem chcą widzieć skażenie gustu publicznego, a przedewszystkiem płochośćjakieś roznamiętnienie materjalne, niepozwalające duszy wyższego podlotu, trzymające je tuż przy ziemi, zaraz przy bagniskach i kałużach życia, tak drogocennych dla samolubstwa. Nie ma wątpliwości, że o dramat dobry trudno teraz we Francji niezmiernie, ale dramata na rozkaz nie przychodzą— są wieki nieurodzaju na nie, i takim jest własnie ten w którym żyjemy. Dla czego tak się dzieje?

Społeczność dzisiejsza urządzona buchalteryjnie na debet i kredyt umie tylko rachować- Tak zawsze bywa po rozbiciu form ciasnych w jakich się przedtem rozwijała. Usadowiwszy się na gruzaoh feudalizmu, i przekonawszy się, że nakłady przeszłości wybornie procentują i to w czystym obrączkowym złocie, stan taki rzeczy ukochała, i pomału coraz więcéj przywiązując się do niego, zadaleko cokolwiek zaszła w materjalnym pociągu. W rozwoju podobnym pierwiastki dramatyczności muszą się przyciszać, przygłuszać, więc i pisarzy dramatycznych zaczyna braknąć, a nowo powstającym skrzydła genjuszu przytrzymuje rachunek! Nie piszą już wyłącznie dla natchnienia, dla samych siebie, dla wewnętrznéj potrzeby ducha, ale i dla widoków co na tem zarabia. Muszą więc działać na ogół, w obrachunek brać jego zachciewki, narowy, grymasy, bo im liczniéjszy oklask, tym pewniejsza sława choćby kilkuletnia a z nią zysk za jakim często głównie gonią. Nie idzie jednak zatem, żeby dramat prawdziwie piękny, odpowiadający wszystkim swoim waruukom, nie miał Paryżan pociągnąć i zachwycić żeby poczucie rozkoszy jakiemi darzy, miało być w nich do szczętu zagubione. Dziś uczęszczają na taką Sarnę w lesie, na Kopciuszka, na Potop świata, bo ich pociąga świetna wystawa, maszynerja, dekoracje i iskry dowcipu rozrzucone obficie z częstym zwrotem do ogólnego położenia i wypadków mniéj więcéj wszystkim znanych. Tam rzeczywiście ubawią się, naśmieją, zwłaszcza że przez słówka i półsłówka, zrozumiane dokładnie tylko przez miejscowych widzów a nigdy przez cudzoziemców, rzecz w fantastyczną aż nadto ubrana szatę, nie jest tak bzdurną jak się nie jednemu z obcych wydaje. Gdyby były dramata prawdziwéj wzniosłości i natchnienia, nie ma wątpliwości, że Paryż zdziwiony, po chwilowem rozważaniu, pospieszyłby tłumnie na podobne przedstawienia, ale właśnie i antreprenerowie i autorowie tego milczącego namysłu lękają się, nie z bojaźni odniesienia tryumfu, ale straty zysków ze sztuk efektownych zaraz otrzymanych. Lepszy wróbel na patelni jak bażant na gałęzi. Brną więc daléj w zajmowaniu publiczności zabawą wyłącznie, autorowie silą się na pomysły, ale wszystko ma swój koniec, przesada zwykle sama siebie zabija, i zdaje się że Paryż opatrzy się niedługo, i obrzydziwszy dotychczasowy rozwój sztuki dramatycznéj, zapragnie pożywniéjszéj strawy.

Jako zapowiedź tego, można uważać rozwijanie się tu coraz większe prac poważnych, sumiennych, historycznych i świeżo wyszłe aż trzy tłumaczenia Szekspira, który głównie wpłynął na odrodzenie się w ubiegłym wieku poezji niemieckiéj. Z prac historycznych na obszerniejszą wzmiankę zasługuje historja Restauracji przez A. Nettement, mająca się składać aż z ośmiu tomów, których już piąty wyszedł obecnie z druku. Rzecz doprowadzona zostanie aż do r: 1830, a chociaż przedmiot ten obrabiali już Capefique, Lubis, bardzo uczony pisarz de Vaulabelle i płacząco sentymentalno de-

klamacyjny Lamartine, chociaż historją Ludwika XVIII i Karola X opracowali nader starannie Duvergier i Viel Castel, jednak wychodzące dzieło p: Nettement jest ze wszystkich najdokładniejsze i najobszerniejsze, bo autor nowe odkrył dokumenta czasów tych dotyczące, które poprzednikom jego zupełnie były nieznane. Nie ma w niem co prawda, życia dramatycznego, czytelnika zachwycającego i przywiązującego do książki; brak także zimnego oceniania faktów i bezstronnego na nie poglądu, ale jest gruntowność i wielki zasób materjałów historycznych.

Wyszła tu także historja Izraelitów aż do dzisiejszych doprowadzona czasów przez Mojżesza Szwaba. Jest to prosta kompilacja z niemieckich pisarzy, znacznie skrócona tylko, i pomimo niezmiernie zwyczajnego, nudnego sposobu opowiadania, nieoszacowana jako podręcznik jako zbiór faktów zgromadzonych ze ścisłą historyczną krytyką.

Pan Viennet wydał historją władzy papiezkiéj rozpoczynając od św. Piotra. Jest to także studjum pierwsze w swoim rodzaju, ciekawe bardzo.

Dotąd nie mieliśmy rzeczy téj równie porządnie i systematcznie przedstawionéj. Pomijam tu wiele innych prac historycznych, a wymieniam tylko te co literaturze francuzkiéj prawdziwy zaszczyt i chlubę przynoszą. Od historji już tylko jeden krok do dramatu—Szekspir niezawodnie utoruje drogę do niego i scena podniesie się na godne siebie stanowisko. Jest to najpewniejszy nauczyciel publicznego gustu, Paryżanie zaprawiwwszy się na nim, wprędce uczują poniżenie sceny i zapragną jéj podniesienia. Teatr w Odeonie pierwszy da do tego przykład, dziś bowiem przedstawienie dawnych dramatów Kornela i Rasyna dowodzi że należycie pojmuje swoje przeznaczenie, i że teatr rozwinięty w tym kierunku na poparcie publiczności liczyć może.

K. G.

Pogadanka Tygodniowa.



owiadają że dla chcącego nie ma nic trudnego. W wyrażeniu tem wiele mieści się prawdy, ale są wypadki w których najlepsze chęci nic nie pomogą i rad nie rad musisz śpiewać Tadeusza. Nie dawno silną miałem wolę stanąć na godzinę umówioną w oznaczonem miejscu. Do dotrzymania słowa zostawało mi tylko dziesięć minut czasu. Sanek nigdzie wolnych, wszystkie brzęczą, dzwięczą, migają, suną raźno po ulicach zasypanych śniegiem, przechodnie mrowią się, tłoczą, popychają.... nie było więc rady, wziąłem nogi za pas i daléj w drogę.

Na samym zaraz rogu starłem się z jakimś wyprostowanym jak tyka jegomością. Obadwaśmy się zatrzymali, spojrzeli na siebie zabójczo, ja się potarłem po nosie szczęśliwy żem go znalazł na właściwem miejscu, on poprawił na bakier skręcony kapelusz, i daléj w drogę.

Po karambulu zastąpiła mi drogę suknia długa, powłóczysta, obszernością swą zajmująca całą niemal szerokość chodnika. Okrążyć przez zejście nie można, tu śnieg po kolana, tam pędzące sanie: — minąć ani myślić, przeskoczyć niepodobna, wreszcie po różnych zapędach, przez upatrzoną lukę przecisnąłem się przecie, ale potknąłem się o schodki sklepowe i w kolanie stukło, w sukni chrupło, a dama z jękiem ach! zawołała. Biegnę daléj. Dwóch jegomości trzyma się pod ręcę, i idą zwolna, wyraźnie z zamiarem zabicia czasu nudnie się im wlokącego. Chcę ich minąć od ulicy, ale obadwa włażą mi w drogę:— rzucam się ku ścianie zwracają się ku wystawie sklepowéj, wpadam więc pomiędzy nich, rozbijam, plączę się, motam, popycham..... ha! wydobyłem się przecie z matni. W tem zaczyna śnieg padać, rozwijają się parasole, powietrze się zaciemnia, ślizgawice zasypują, nogi suwają jak na łyżwach. Na środku chodnika stoi kupka rozmawiających, śmiejących się i radzących, osłonięta parasolami że ich tylko widać od pasa do ziemi. Przechodnie zatrzymują się, jeden, trzech. pięciu, tworzy się zator jak na rzece w czasie puszczania lodów, ten brnie w ulicę, ten przeciska się pod ścianą, inny szturmuje przez środek..... Biegnę znowu; do kłopotu z idącemi łączy się kłopot z rozpiętemi parasolami, zawadzają mi o czapkę o czy, wąsy, kolą w głowę, w plecy, zasłaniają drogę, dość że istne skaranie Boże. Na przejściach przez ulicę sanki pędzą za sankami. Jednem uchem słyszę: hou! — drugiem: na bok! a wszystko tak jakoś natarczywie i groźno, że kopyta końskie czuję tuż po nad głową. Przebiegłem przecie, oglądam się radośnie w tem zastępuje mi jakiś serdeczny łaskawca:

— Jak się masz Janku.....?

— Zdrów Bogu dzięki, zdrów jestem ale chwili nie mam wolnego czasu.....

— Ależ czekaj chwileczkę.....

— Ani chwileczki nie mogę, nie mogę.....

— Wydajesz mód tygodnik i jesteś niegrzeczny. Nie puszczę cię bratku.

I łaskawca chwyta mnie za rękaw okrywki, przytrzymuje, i zamiast opowiedzieć interes, lub przy-

najmniej coś ciekawego, prawi mi poważnie:

— Nie rozumiem jak się można tak straszliwie spieszyć. Ja się nigdy nie spieszę, a jednak wszystko na czas robię.

— Dobrze, dobrze ale puść mnie.

— Powiedz najprzód gdzie pędzisz?

— Do Florka....

— Do Florka — w téj chwili przejechał sankami.

— Nie może być....

— Daję ci słowo.

Spojrzałem na zegarek— pół godziny było po terminie. Wyprawa na nic się nie zdała i wpadłem do tego jak mysz w łapkę. Westchnąłem więc ciężko.

— Czegóż wzdychasz Janku? ludzi cięższe zmartwienia spotykają.....

— Wiem, wiem, ale powiedz mi co tam w świecie słychać?

— Wiadomości pełna fura. Przedewszystkiem ogromne wszędzie spadły śniegi. Ogród Saski zasypany nim rowno z barjerkami, pociągi kolei żelaznéj spózniają się po kilka godzin, miejskie chodzące po żelaznych szynach przestały zupełnie kursować, sankarze się cieszą, stróże przeklinają.....

— I cóż więcéj? — śnieżny ten obrazek wcale nieciekawy.

— Aleś ty mój Janku ciekawy nad miarę. Więc słuchaj rycerzu kobiet, popisujący się na papierowym polu z grotem w ręku z pióra, doznałeś z całą armią swoją ogromnéj porażki, bo panna Stanton kandydatka do kongresu amerykańskiego, otrzymała tylko osiem głosów na przeszło 22,000. Niezrażona jednak niepowodzeniem, oświadczyła, że nigdy nie schyli chorągwi praw kobiecych przed prawami przez mężczyzn przywłaszczonemi i ma nadzieje w przyszłości powetować klęskę tegoroczną....

— Wytrwałość godna pochwały —przerwałem— bez trudu nic nie przychodzi. I cóż daléj?

— W Londynie panna Marja Walker amerykanka jako doktór medycyny i chirurgji zajmuje niezmiernie publiczność. W czasie ostatniéj wojny w Ameryce, ozdobiona medalem zasługi, który z piersi jéj nigdy nie schodzi. Na odczytach publicznych we wstępie dowodziła zdolności kobiet do lekarskiéj praktyki. Powiadają że powierzchowność jéj wcale nie powabna, ma być bowiem niskiego wzrostu, szczupła, śniada, rysów ostrych, ale twarz jéj jaśnieje niestartym wdziękiem poważnéj, rozumnéj myśli, a w oczach iskrzy zapał nauki i poświęcenia, którym zarówno pociąga jak zachwyca. Szpeci się tylko strojem pół męzkim Bloomerystek, dobrym zapewne w Ameryce ale nie w naszéj Europie. Usprawiedliwia go koniecznością przy operacjach, którym zawadzałyby suknię kobiece, ale tłumaczenie to zdaje mi się naciągniętem, bo operacje na prędce się nie odbywają, w razie więc danym łatwo zwykłe kobiet ubranie na dogodniejsze przemienione być może. Ta chęć wyróżnienia się błachostką, dowodzi jasno, że panna Walker nie stanęła jak granit na wysokości swego zadania i że równouprawnienie kobiet nie tak prędko jeszcze nastąpi. Zawsze jednak pojedyńcze takie płci niewieściéj wystąpienia, bez wpływu korzystnego na nas panów świata nie pozostaną. Są to ostrogi na naszą gnuśność, ospałość, lekkomyślność, gdy bowiem zobaczemy upowszechniającą się coraz bardziéj książkę w rękach kobiecych, radzi nie radzi rozbudziemy się z ulubionéj drzemki, i chwyciemy się nauki, jako jedynéj przewodniczki ludzkości. Cześć więc zawsze pannie Walker przynależy, w dowód czego, pójdz, spełniemy kielich węgrzyna....

— Żebyśmy w lepszą drzemkę zapadli? — zapytałem łaskawcę — nie mój drogi, czci dla nauki dowodzi się samą nauką. Wnoszę więc abyś zamierzoną stratę talarka, obrócił na kupno biletu na wykłady profesorów miewane w celu dopomożenia uczącéj się niezamożnéj młodzieży. Będzie to zacniéj i korzystniéj.

— Zgoda, masz słuszność, a w dowód że trafiłeś do mego przekonania, udzielę ci wiadomostkę o wyjściu Pamiętnika naukowego na miesiąc Styczeń. Jeszcze go nie przeczytałem, ale treść sama jak oczy panny Walker, nęci i pociąga. Powodzenia jego jestem pewny, aby tylko redakcja nowa nie zraziła się pierwszemi trudnościami.

— Mogę cię zaręczyć — odrzekłem — że to nie nastąpi. Treść jego razem z opisem naszéj gawędy pomieszczę w Tygodniku, a obszerniéjsze sprawozdanie dam pózniéj.

Zacne usiłowania szerzenie światła, którym pierwszy popęd dał Doktór Gregorowicz, godne są zachęty i poparcia.

— Dobrze to wszystko, tylko w opisie naszéj gawędy nie pomieść czasem mojéj łysiny, pucołowatéj twarzy i zadartego nosa.

— Bądź spokojny, karykatur rysunkowych przecież nie mieszczę w Tygodniku.

— Dowcipnie grzeczny jesteś. Bywaj więc zdrów ale... ale, wytłumacz mi przynajmniéj w wywdzięczeniu się za dostarczony materjał do tygodniowéj gawędy, co znaczą niektóre przedmiota wymienione w tabelli wygranych fantów w loterji urządzonéj przez Towarzystwo Dobroczynności. Co to jest np: Atrap-Patera marmurowa-Papeterie-Porte-tabac-Earitoir-kassetka-Federwischer i innych podobnych dziesiątki? Szczególniéj Atrap zaatrapował mnie niewymownie, a służący mój niezmiernie ciekawski dobił, dopomagające się gwałtem wytłumaczenia.

— Zmięda jesteś i tetryk mój kochany — kto nie umie obcych języków, niech się uczy a zrozumie.

— A, rozumiem. Więc to dla zachęty?

— Naturalnie maruda nieznośny.

Podawszy sobie ręce, rozeszliśmy się każdy w swoją stronę. Snieg padał, sanki brzęczały, przechodnie popychali, a ja myśląc o Atrapie dopchałem się szczęśliwie do domu.

WYCIECZKA W SANDOMIERSKIE

WSPOMNIENIE Z PODRÓŻY S...

(Dalszy ciąg).

Sliczny letni poranek jeszcze się perlący kropelkami roty, widok zawiślańskiéj okolicy, mieniącéj się cudną barwą promieni słonecznych, chór śpiewaków

skrzydlatych i obecność młodéj kobiety ujmującéj nieporównanym wdziękiem wykształcenia, były to uroki mogące obdarzyć natchnieniem każdego, nawet posiadającego mały zapas poetycznego uczucia. Usłyszawszy zatem ostatnie słowa zachęcające do improwizacji, wyprostowałem się, rzuc.łem spojrzenie do koła, wpatrzyłem się w zamyślone oblicze mojéj towarzyszki, po którem igrał wyraz smętnéj zadumy, i odetchnąwszy całą piersią tak zacząłem prawić:

— Przed wieloma laty, za górami za lasami, mieszkał pan bogaty.

— Czemuż nie pani?— zapytała pani Bronisława.

— Tak mówi pieśń natchnienia, srebrną wstęgą tryskająca z mojéj duszy.

— Niechże będzie i pan kiedy tak pieśń mówi. Słucham daléj.

— A był to pan groźny i możny. Kiedy się gniewał, echa gór tych drżały, i potulne zestrachane kryły się w nurty rzeki. Wartka rzeka przyciszała je szumem fali, a gdy pan groźny chciał je schwytać w pogoni i stanął po nad brzegiem rzeki wyciągając rękę mieczem uzbrojoną, fale odbijały gniewne jego oblicze i pan strasząc się sam sobą, krył się na długo w podziemia zamkowe. Héj! rzeczko moja rzeczko!— daj mi te echa ze swojego łona, niech wspomogą nieudolną myśl, aby pieśń godną słuchacza wygłosiła.

— Zaczęcie - odezwała się pani Bronisława widząc że na chwilę zamilkłem — zaczęcie coś na epopeję zakrawa. Gdybyś szanowny improwizatorze, zamiast martwéj rzeki, wezwał był bogów pogańskiego świata, byłabym pewną że się nowy Homer objawił. Wówczas zadowolona w dumie swojéj, przyznałabym ci przyobiecaną nagrodę. Tak zaś niemal zaręczyć mogę......

— I ja zaręczyć mogę— odezwałem się przerywając — że jeżeli pani tak ciągle będziesz wtrącać różne uwagi, to nie tylko zniknie natchnienie, ale opowiadanie nie będzie miało końca.

— Oj! nie strasz mnie pan jego długością — zawołała p: Bronisława uśmiechając się złośliwie — skracaj ile możności, żeby reszta towarzystwa nie przeszkodziła, a ja słuchając żebym nie usnęła.

— Przebudzę panią opisem stroju mającéj się wprowadzić bohaterki — odrzekłem z przekąsem — przedmiot ten dla pań cudownéj siły. Trzy dni i trzy noce może zajmować bez uśpienia, a nawet bez znużenia choćby najmniejszego.

Pani Bronisława spojrzała na mnie, ale nic nie odpowiedziała tylko uśmiechnęła się i poprawiając okrywkę od kurzu rzekła:

— Słucham pana daléj, a ty Perkuano bogini cierpliwości, obdarz mnie choć szczyptą swojéj łaski.

— Za wstawieniem się demona Galanta — domówiłem chyląc głowę w ukłonie — „opiekuna grze“....

— Słucham, słucham opowieści przyobiecanéj przerwała niecierpliwie p. Bronisława.

— A więc daléj rzecz prowadzę. Pan groźny choć złoto mierzył korcami i wszystko truchlało na jego spojrzenie, choć miał perły i szmaragdy, ale nad wszystkie drogości przekładał najśliczniejszą córkę, która urodą przenosiła świat cały. Kiedy wyszła do ogrodu, to burza przemieniała się w najpiękniejszą pogodę, pioruny zastygały w powietrzu, chmury bielały, zakwitały pączki, liście szeleściły radośnie, a stada lecących górą żórawi zatrzymywały się w miejscu jak przykute, co się dosyć urodziwéj panience napatrzyć nie mogły. Jeźli się niebo zasępiło, jedno jéj uśmiechnięcie radością napełniało świat cały, spojrzeniem noc na dzień zmieniała, a westchnieniem gięła wszystkich kolana do pokory i modlitwy. Pan groźny żył przy niéj jak w niebie, a choć był twardéj natury, pod jéj oczami wolny od wady wszelakiéj niby święty, równie żywot święty prowadził. Ale po za jéj spojrzeniem był to człek jakby ukuty ze złości, zemsty i zawziętości, wtedy to z bojazni ludzie wrastali w ziemię, a echa latające po dolinie nurzały się w nurtach bystréj rzeki. I płynęły dnie i tygodnie, slawa piękności córki groznego pana rozchodziła się na wsze strony, niesiona szumem wiatru, wonią kwiatów, spiewem ptaszyn, mgły tumanem i nurtem strumieni. I lecąc tak przez góry lasy, rozpędzając chmury i obłoki, doleciała do jednéj włości, co mieszkało w niéj trzech braci, dwóch.....

— Dwóch mądrych a jeden głupi — domówiła za mnie pani Bronisława — forma nadzwyczaj zużyta.

— Przepraszam, przeciwnie bo dwóch było głupich a jeden mądry — odezwałem się a złośliwa pani Bronisława spojrzała na mnie zdumiona i rzekła:

— Coś nowego, niezmiernie jestem ciekawą rozwiązania....

— A zatem nagroda nie minie mnie....

— Być może, ale dotąd dopiero jestem zaciekawioną, a trzeba żebym została zachwyconą, zdumioną. Opis cały wcale udatny a przedewszystkiem oryginalny. Oddziaływanie świata niematerjalnego na materjalny, niejako uplastycznianie poetycznego poglądu jest żywiołem nowym, zaczerpniętym prosto z natury. Takim językiem mówią wszystkie legendy i podania, użycie go dowodzi, że nie brak w panu ani świadomości rzeczy, ani natchnienia....

— Ani pojęcia — dodałem znacząco — co tylko piękne a co bardzo piękne. Gdybym nawet nie był w pośród tak pięknego otoczenia, to samo towarzystwo pani byłoby dostatecznem.....

— Jak panowie jesteście zarozumiali — przerywając odezwała się pani Bronisława — to dosyć temu nie można się nadziwić. Jedno słówko przychylności, pochlebnego uznania ze strony młodéj kobiety, czy to panny czy wdowy, zaraz was podnosi, we własnem przekonaniu, i napełnia nieposkromioną pychą za którą w ślad idą strzeliste afekta, wydobyte z pieśni średnio wiecznych wieków. Porzuć pan ten smieszny i nędzny sposób zdobywania przyjjazni kobiecéj, nie słowami do niéj przemawiaj, ale czynem dowodzącym zdrowéj myśli i zacności serca. To jedyna wasza droga, gdybyście jéj tylko pilnowali...

— Czy wyrok pani bez odwołania?

— Bez najmniejszego. Jestem pierwszą i ostatnią instancją, ale opowiadaj pan daléj. Mamy jeszcze najwyżéj kwandrans czasu, a radabym wysłuchać rozwiązania losu pięknéj córy groznego pana. Cóż tedy owi bracia? Jakże objawiała się dwóch głupota a trzeciego mądrość? (d. c. n.)

O UBIORACH

Oglądaliśmy u pani Adeli Hoffmanowéj kilka strojnych balowych sukien, przeznaczonych po większéj części dla cudzoziemek, które opiszemy czytelniczkom naszym. Najpierw powiedzieć musiemy, że u wszystkich staniki były gładkie zdobne u góry szeroką na cztery palce blondyną, lub koronką, przystrojoną frendzlą z białych lub czarnych kryształowych perełek, albo też inną podobną ozdobą. Wystrój odpowiedni tworzył pasek bez końców ani rozety, spięty niewidzialnie. Rękawki krótkie bufiaste; na ramieniu jednego znich było przepięcie z kwiatów, na drugiem zaś węzeł z końcami, z aksamitki lub wstążki, a na każdym z tych końców przyszyta z koronki Chantilly wyrobiona odmienna litera. Litery te tworzyły cyfrę imienia właścicielki sukni. Wszystkie staniki były niezmiernie krótkie przypominające modę z czasów pierwszego cesarstwa. Fason ten zowie się *duchesse* równie jak tunika rozcinana z przodu, zdobiąca wszystkie suknie balowe. Spódnice niezbyt szerokie robią zawsze z ogonem, chociaż u lekkich sukien po pierwszym tańcu, bywa podarty w kawały, a przynajmniéj znacznie uszkodzony. Wierzchnia tunika nie zawsze ścina się w kliny, tylko fałduje do koła jak dawniéj. Kolor Bismark to jest żółty w różnych odcieniach bardzo modny, lubo zdaje się że jedynie brunetkom przypadać powinien do twarzy. Wszystkie prawie suknie, które oglądaliśmy były żółte lub *orange*. Jedna z nich z tarlatanu zwyczajnéj żółtéj barwy, miała u dołu ruszkę do cieniu w innych żółtych kolorach. Stanik podobny tym które powyżéj opisaliśmy, zdobny białą blondyną i złotą gipiurą; tunikę zaś z białego tarlatanu ze złotym drukowanym szlakiem. Druga z tarlatanu *orange* (Bismark ciemniejszy) stanik miała zdobny blondyną białą mięszaną z czarną koronką, aksamitką i lawową frendzelką, tunikę zaś z czarnéj koronki *Chantilly* utworzoną z dwóch falban szerokich. Dla młodych osób były przygotowane suknie białe tarlatanowe z tunikami koloru blado żółtego *paille* którą francuzi zowią obecnie *Bismark malade* Dla młodéj panienki również ładną była suknia biała tarlatanowa przystrojona białym galonikiem przetykanym pąsowemi aksamitnemi pomponikami, na jednem ramieniu zwieszało się u niéj przepięcie z pąsowéj werweny, na drugiem końce z cyframi. Druga podobna suknia biała tiulowa miała wystrój z białych galoników jedwabnych z białemi pomponikami i róże (roses mousseuse) bez liści. Suknia błękitna *poult de soie*, miała tunikę białą tiulową ozdobioną kwiatami błękitnemi, mięszanemi z kryształem i blondyną białą lamowaną srebrem.

Suknia z białéj illuzyi na białem *poult de soie* miała ozdoby łez kryształowych i koralowych gałązek. Trudne ubranie głowy do tego stroju, tworzyły również koralowe gałązki. Suknia z mory *antique* lila ze srebrną nitką, miała stanik przybrany koronką *Cluny*, srebrną plecionką i białemi kryształami; tunikę otwartą na spódnicy z białego *poult de soie*.

U góry jednego ramienia przepięcie z kwiatów lila z białym kryształem mięszanych, u drugiego z aksamitki lila, na któréj końcach były koronkowe cyfry. Ubranie na głowę z koronki, kwiatów i kryształu. Niepodobna opisać wdzięku i elegancji tych wszystkich ubiorów, najdrobniejsze w nich szczegóły wykonane są z rzadką starannością i wykończeniem, a tworzą zawsze harmonijną całość, właściwa ubiorom wychodzącym z magazynu pani Adeli. Widzieliśmy tam jeszcze oprócz balowych, suknią pod szyję z czarnéj mory, któréj ozdoby u ramienie tworzyły duże czarne lawowe liście, przepasana zaś była paskiem zwanym *bretońskim* (*ceinture bretonne*) od którego na kształt baskiny, spadają do koła w pewnéj odległości od siebie końce, krótsze z przodu a podłużone z tyłu haftowane suto lawą, równie jak pasek a ukończone lawowemi ozdobnemi wiszadełkami (*pendeloque*). Mówiła nam pani Adela że rękawy szerokie u dołu ręki na kształt dawniejszych, których modele już przywiozla z Paryża dotąd jeszcze się nieupowszechniły i zapewne nie prędzéj jak w roku przyszłym wejdą wmodę. Obecnie robią tylko rękawy cokolwiek szersze.

OPIS RYCINY.

N. 1. Stanik biały do kolorowéj spódniczki. Na wykroju oznaczony czworograniasty karczek wstawką na podwleczeniu różowem. Cały karczek złożony z bufek muślinowych i wstawek *Cluny*, przewleczonych aksamitką.

W koło karczka koronka Cluny. Pasek różowy z rozetą na boku. U rękawów wstawka na podwleczeniu i odwinięty mankiet z koronki.

N. 2. Koronka półbatystowa, naszyta wstawką Cluny na podwleczeniu z czarnéj aksamitki. Po obu stronach wstawki, wąziuchna koroneczka. Kołnierzyk z podwójnego półbatystu obszyty koroneczką, w rogach medaljony kluni.

N. 3. Koszulka pod wyciętą suknię tiulową w drobny rzucik. U szyi i z przodu na spięciu, aksamitka czarna naszyta maleńkiemi medaljonikami kluni.

N. 4. Krawacik z pluszu ukośno krajanego, zakończony kwaścikami jedwabnemi.

N. 5. Koszulka półbatystowa, po obu stronach listwy wąziutka falbaneczka, daléj zakładki przeszyte w zęby wstawką haftowaną. U szyi falbaneczka. Rękawy u ręki naszyte w zęby wstawką.

N. 6. Sukienka dla maleńkiego dziecka do chrztu biała półbatystowa, nad obrębem przeszywana wstawką kluni; u dołu falbaneczka haftowana. Staniczek w drobne zakładki. Rękawki krótko bufowane. Szarfa z wstążki niebieskiéj.

N. 7. Sukienka dla trzyletniego dziecka. przeszywana wstawkami haftowanemi. U dołu i nad wstawkami wąziuchna falbaneczka. Stanik gładki wycięty czworograniasto, zakończony w górze falbaneczką. Rękawki krótkie bufowane zakończone tak samo.

N. 8. Kapelusz aksamitny, ubrany białemi liśćmi aksamitnemi, szarfa ze wstążki atłasowéj.

N. 9. Kołnierzyk płócienny z końcami założonemi na krzyż, haftowany w rogach i obszyty koroneczką.

N! 10. Kołnierzyk półbatystowy cały w zakładki objęty gładką pliską, w rogach rozetka haftowana.

N. 11. Kołnierzyk płócienny z wypuszczonemi klapkami. Na tych klapkach potrójna wstawka kluny. Cały kołnierzyk obszyty koroneczką.

N. 12. Kapelusz aksamitny, główka płaska w zakładki, rondko ubrane w koło drobnemi piórkami z boku kamelja aksamitna. Szarfy białe.

N. 13. Kołnierz do wyciętéj sukni dla dziecka z materji różowéj, obszyty w koło puszkiem łabędzim.

N. 14. Spódnica perkalowa. U dołu wolant karbowany. Nad tem wstawka haftowana powyżéj zakładki.

N. 15. Czepeczek fanszonik czworograniasty. Na każdym rogu naszyty medaljonik haftowany, pod tym przewleczona aksamitka czarna. Garnirunek z koronki. Końce przeszyte medaljonikami, przewleczone aksamitką, w koło koroneczka.

N. 16. Rękaw odpowiedni do kołnierzyka pod N. 9.

N. 17. Kołnierz wielki koronkowy Cluny, z klapkami. U szyi kokarda aksamitna.

N. 18. Kołnierzyk płócienny haftowany, lub naszyty wstawką nad obrębem, podwiązany sznurem jedwabnym z kwaścikami.

N. 19. Czepeczek fanszonik przeszywany wstawką muślinową lub walansienkową. Obszyty koronką, ubrany pukielkami ze wstążki. Końce z odwróconéj walansienki, przepinane pukielkami w odstępkach.

N. 20. Rękawek do kołnierzyka pod N. 11.

N. 21. Spódnica perkalowa, u dołu wolant w kontrafałdy. Nad tem podwójne zęby naszyte listewką, pomiędzy zębami wszywana wstawka kluni.

PRZEPIS KUCHENNY.

Tort chlebowy doskonały.

Funt migdałów nie parzyć tylko obetrzeć czystą serwetą, utrzeć na tarce lub usiekać jak można najdrobniéj, prawie na mąkę, dodać funt cukru miałko tłuczonego i przesianego przez gęste sito i ucierać razem wałkiem w maku trze, wbijając 16 jaj całych po jednemu i cztery żółtka, trąc ciągle wałkiem w jedną stronę przez trzy kwandranse. Dodać łut cynamonu miałkiego przesianego, skórkę drobno usiekaną z dwóch cytryn, chleba razowego żytniego suchego utłuczonego i przesianego łutów cztery i ucierać to jeszcze razem kwandrans.

Przygotować rondel miedziany pobielony średniéj wielkości, wysmarować (w przódy go dobrze ogrzawszy) woskiem, wlać tę massę w ten rondel, wsunąć w piec tak ogrzany jak na chleb pytlowy i piec godzinę, tak jak chleb zwykły. W pierw tort wyrośnie, ale ile wyrośnie tyle po wyjęciu z pieca opadnie więc tyle tylko wysoki będzie i być powinien ile było wrondlu surowéj massy. Po ostygnięciu lukrować i ubierać według upodobania.

J. M.

KORRESPONDENCJA.

Panu G. Milew. Aparat zwany: Lebensweker wraz z olejkami kosztuje

Panu Sewerynowi Sztrzał. do prenumeraty Tygodnika brakuje kop. 25.

Pani Marji Hornow. Roczna opłata Tygodnika wynosi z kopertą pocztową rs. 9 kop. 50. Odebraliśmy tylko 9 P. L. Dy. W miejsce Czytelni niedzielnéj wychodzi Zorza". Prenumerata półroczn kosztuje rs. 1 kop. 21.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina paryzka kolorowana.

w Drukarni K. Kowalewskiego — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

Dodatek do Nr. 4 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 14 (26) Stycznia 1867 r.

DZIEDZICZKA JODŁOWCA

POWIEŚĆ,

PRZEZ

Paulinę z L. Wilkońską.

(Dalszy ciąg.)



Cóż dziś tutaj tak pusto? — wymówił, oglądając się w koło. Niemasz profesora i panny Siewońskiéj nie widać.

— Panna Siewońska pisze listy do Meranu — odrzekła Frania.

— Profesor odszedł.... hi hi hi! — zaśmiała się Adzia.

— I czegóż się śmiejesz! — zawołała matka gniewnie, co jéj nie zdarzało się często. Niemasz śmiać się z czego! Raz przestań być pustą, bo jużeś wyrosła z dziecinnych trzewiczków.

Adzia pochyliła główkę — i krztusiła się z cicha. Na lica Frani niezwykły wystąpił rumieniec.

Pan Jerzy z zadziwieniem patrzał się na kuzynkę, bo rzadko łajała, a rzadziéj w tak wyłącznie kwaśnym była humorze. Patrzał się na Adzię, i bawił się jéj śmiechem tłumionym.

— Cóż stało się kuzynce? — zapytał na koniec— jesteś w niezwykłym sobie humorze, a bez przyczyny to nie bywa.

— Zapewne, że nie!.. Klin wbito mi w głowę, i naprawdę, że nie wiem, co z tym począć fantem.

— Cóż zaszło?

— A!

— Jakiż to klin? Zrzuć kuzynka swój ciężar, przyjrzyjmy się bliżéj wszystkiemu, a może i zaradzić potrafimy! — żartował kuzynek.

— Wystaw sobie, że profesor mnie prosił, bym go pannie Siewońskiéj oświadczyła.

— A! — zawołał Jerzy i spochmurniał z kolei.

— Przyszedł po lekcji i przedłożył mi swoje afekta i plany.

— I cóż mu kuzynka odpowiedziała?

— Że to wszystko pannie Siewońskiéj powtórzę.

— Przecież niepodobna, by go przyjąć miała!

— Powiedział mi, że dotąd jeszcze żadna kobieta takiego na nim nie wywarła wrażenia, bo nie jéj powierzchowne powaby, lecz charakter, rozsądek, wykształcenie, sposób myślenia, zjednały dla niéj szacunek jego i najwyższą życzliwość.

— Miłość! — rzucił Jerzy z wyraźną ironją.

— Tego wyrazu nie użył: nasz poczciwy przyjaciel za nadto jest poważnym.

— Lakierki, perfumy, peruczka! — poszepnęła Adzia siostrzyczce figlarnie, lecz matka tego nie dosłyszała. Frania uśmiechnięta, twarzyczkę ku robocie skłoniła.

— Oświadczył mi — opowiadała pani Radzyńska, że ma tysiąc dwieście rubli rocznego dochodu, i że już sobie 40,000 złp. uzbierał.

— Bardzo pięknie!

— Że mając żonę tak rozumną i wykształconą, mógłby te dochody niemal w dwójnasób powiększyć, założywszy pensją chłopców. A prosiłby panią Siewońską, by zamieszkała przy nich i ster główny objęła.

— Profesorek jest planistą?

— Proszę ciebię, czyliż to wszystko nie jest uczciwie i rozsądnie obmyślanem?

— Wszakżeż i ja tak sądzę! Pannę Siewońską wielkie spotyka szczęście drwiąco wymówił pan Jerzy.

— O, tego przecież nie powiadam! Profesor jest sobie zacny, poczciwy człowiek, może być najwzględniejszym mężem, Janinę pewno na ręku by nosił...

Pan Jerzy poruszył się niecierpliwie.

— Ale nie jest jednak odpowiednim dla niéj małżonkiem.

— Choć aby jedno słówko uznania ze strony kuzynki!

— Tak od pierwszéj chwili sądziłam i sądzę. Lecz byłoby to małżeństwo rozsądnie zawarte...

Jerzy powstał.

— Miałaby los zapewniony, i dla siebie i dla matki.

Jerzy zaczął po salonie chodzić.

— Zrobiłby jéj pewno i zapis.

Pan Jerzy rzucił się znowu na fotel.

— Byłaby może szczęśliwą!

— Taka młoda i tylu obdarzona wdziękami!

— Zapewne, ale... powiedzmy: cóż ją czeka?

— Kto to wie?

— Pragnę, dla niéj najlepszego losu, jak gdyby mi bliską była krewną. Lecz, niestety, sieroty bez posagu losów nie robią!.. A profesor go ofiarował.

— Eh!

— I gdyby wszystko brać na rozsądek.

— Wstrętnym jest rozsądek taki!

— Czekałoby ją szczęście ciche, spokojne.

— Bezbarwne, bez promyka słonecznego, jak ołowiane niebo grudniowe.

— Byt i wygody życia!

— Łzy i tłumione westchnienia... uśmiech hipokryzji... Komedja! — wymówił Gorysławski z oburzeniem.

— Nie zawsze! Czasem takie małżeństwa są szczęśliwe wcale.

— Tam, gdzie materjalizm jedynie starczy za wszystko, a serce żadnych nie ma potrzeb!.. Przypuszczam, że panna Siewońska, wprzężona dobrowolnie w podobne jarzmo małżeńskie, potrafiłaby z siebie uczynić ofiarę, ależ ofiarę łzami ukrytemi a gorzkiemi posianą! Bo zmaterjalizować nie potrafi się nigdy, ażeby jéj za całe szczęście starczyły dobre objady, wygodne mieszkanie i ładne suknie!.. To jasne że dla pana Bylewicza serce młodéj dziewczyny nigdy uderzyć nie może, a zatém, musiałaby temu sercu wieczne nakazać milczenie. I jakiż to los byłby wtedy?!

— Straszysz mnie! przeraża z, jak męża kocham i dzieci! Jestem w ambarasie wielkim! Matka jéj powierzyła mi ją, i obiecałam, że będę nad nią czuwała, jakoby nad własnem dzieckiem. Radzić nie chcę... odradzać nie mogę!

— Zostaw to kuzynka raczéj jéj sercu i woli.

— Powinnabym wszelako niejedną uczynić uwagę.

— Czy przeciw?

— Za i przeciw.

— Myślę, że lepiéj żadnych nie czynić uwag.

— Niechaj zresztą zasięgnie rady od matki, tak będzie nalepiéj. Umywam ręce.

— Czy jeszcze nie wie o niczem?

— Ani przypuszcza pewnie.

— Kiedyż kuzynka z nią pomówi?

— Dziś jeszcze, zanim spać pójdziemy, *la nuit porte conseil*, mówi francuzkie przysłowie. Och, Boże! — westchnęła — żal by mi jéj było.

— Gdyby miała zostać panią Bylewiczową! — zaśmiał się Jerzy.

— Przyznaję.

— To jak gdyby kto z róż i suchych gałęzi chciał bukiet ułożyć!

— A jednakże, byt zapewniony...

— Mamo! — zawołała Adzia, powstając z siedzenia.—jak mamę kocham, że ja.. jabym chyba wyskoczyła ze skóry, gdyby nasza kochana Janeczka miała zostać żoną starego profesora!.. Mamo, nigdy nie zezwolę na to! — i rzuciła się matce na szyję.

— Pusta dziewczyno, co tobie do tego?

— Bo ją kocham, mamuńciu!.. Ale otóż idzie — dodała ciszéj.

Janina z drugiego ukazała się pokoju.

Jerzy powstał i powitał ją.

— Listy skończone? — zapytała pani domu.

— Jeszcze niezupełnie. Pisałam wiele i zabolała mnie głowa, więc na jutro odłożyłam resztę.

Usiadła z robotą.

— To przejdź się lepiéj.

— Proszę! — Adzia podała jéj rękę i poczęły po salonie chodzić.

— A gdzież profesor? — zapytała Janina.

— Będziesz pani na dziś pozbawioną jego towarzystwa — ozwał się Jerzy, uprzedzając odpowiedź kuzynek. Czy nie żałujesz pani téj przyjemności?

— Jakto? — Janina przystanęła i obejrzała się na niego.

— Rozmowa jego jest bardzo przyjemna.

— Zapewne i pouczająca... Ale mamy go codziennie.

— Poczciwy profesor! — Jerzy chciał jeszcze coś dodać.

Pani Radzyńska spojrzała się na kuzynka, i położyła palec na ustach.

Pan Jerzy powstał — i rozmawiając chodził obok Janiny.

O profesorze już więcéj mowy nie było.

Gdy kuzynek odszedł wybierając się jeszcze gdzieś na wieczór, zaprosiła pani Radzyńska Janinę do swojego pokoju.

— Mam wielkie polecenie do ciebie — wymówiła sadzając ją przy sobie, i pocałowała ją w czoło.

— Cóż takiego? — Janina zapłonęła.

— Profesor Bylewicz prosił mnie, bym go o twoją oświadczyła rękę.

— Boże! — Janina drgnęła, przerażona do wnętrza — tego nie byłabym się spodziewała nigdy! — i aż pobladła.

— Mówił, że ciebie czci i uwielbia, że ciebie wyżéj stawia ponad wszystkie inne kobiety.

— Och!

— ...że jeszcze żadna takiego na nim nie sprawiła wrażenia.

— Żałuję niezmiernie! Ale, wszakżeż ja sobie nic do wyrzucenia nie mam.

— Nie, nie! Uchowaj Boże!.. Zachwycił go szczególniéj twój sposób myślenia, charakter, serce, twoje wykształcenie, skromność, niemówiąc wcale o wdziękach.

Janina poruszyła się niecierpliwie.

— Oświadczył, że ma tysiąc dwieście rubli dochodu rocznego.

— O, moja droga, kochana pani! — Janina pocałowała ją w ramię — już o tém nie mówmy!

— Muszę ci wszelako wypowiedzieć wszystko.

— Nie, nie!

— Pozwól! Matkę twoją chce zaraz do swojego zaprosić domu.

— Biedny profesor! Żałuję go.

— Rozważ wszystko, dziecko kochane!.. Czekajdni kilka!.. Napisz do matki!

— O! — poruszyła się Janina. Droga pani, kochana, wyperswaduj mu te rojenia co rychléj, co najrychléj! — złożyła z prośbą dłonie. Jemu nie trudno będzie rozstać się z tem marzeniem, byle tylko o żadnéj nie śnił nadziei.

— Skoro tak stanowczo odmawiasz, to jutro odpowiem mu zaraz.

— Gdyby można, dziś jeszcze, jedyna, droga pani! — i objęła ją w serdecznym uścisku.

— Namawiać nie myślę, chciałam tylko, byś pod rozwagę wzięła.

— Nie, nie!.. Tego niepotrzeba!.. Powiedz mu najdroższa pani, że mam wszelki dla niego szacunek i jak najlepiéj mu życzę.

— Dobrze, dziecko moje kochane!.. Jestem nawet rada z tego, żeś od razu tak stanowczo wyrzekła... Bo, zaprawdę, żeś ty nie dla niego!

Uścisnąwszy swoją poczciwą opiekunkę, Janina w niezwykłem wzburzeniu po swoim chodziła pokoju. Niepokoiła się, czyli mimowoli i chęci, sama w profesorze jakiejś nie wzbudziła nadziei: rozważała całe

swoje postępowanie— żal jéj było poczciwca — i nawet sobie wyrzuty robiła.

„Dziś nasz poczciwy profesor oświadczył się o mnie“ — napisała do pani Siewońskiéj — przed chwilą mówiła mi o tem pani Radzyńska. Mam więc to rzadkie zadowolenie... że *ktoś* mojéj zażądał ręki, jako bezposażnéj dziewczyny!—i nie cieszę się z tego a żal mi biedaka, żal mi go do głębi duszy. Wiem, wiem, że co do uczuć jego, to o sercu wielkiéj mowy być nie może, ale zawsze zażądał ręki *ubogiéj dziewczyny* i mogłabym już prawie do Jodłowca powrócić!

Wyrzucam sobie, żem dla biedaka stała się przyczyną chwilowego, gorzkiego zawodu, najniewinniéj! Bo czyste pod tym względem mam sumienie. Całą winą tegoż, jest wszelako moje fałszywe, kłamane tutaj stanowisko i coraz większego nabieram przekonania: że kobieta w takowe własnowolnie, samowolnie, dobrowolnie, nigdy rzucać się niepowinna — bo rychléj czy późniéj gorzko odpokutuje. Ze strony mężczyzny bywa to lekkomyślnością — ze strony kobiety czemś więcéj, bo nierozsądkiem... bezrozumnem! Nie szczędziłyście przedstawień, drogie moje, ukochane!.. Stało się! I wytrwać potrzeba.

Zresztą jest mi tu bardzo dobrze. Przywiązałam się do pani Radzyńskiéj całem sercem i do jéj poczciwych dziewczątek. I ona daje mi dowody przywiązania szczerego i życzliwość, a panienki kochają mnie jakoby bliską krewnę. Towarzystwo mam miłe, i czas schodzi przyjemnie. Dobra noc!

O panu Jerzym Janina tylko przelotnie bardzo parę razy wspomniała.

Dość rychło jeszcze było, gdy panienki wbiegły do niéj nazajutrz. Jedna usiadła po jednéj stronie, druga po drugiéj, objęły ją przyjaznie i całą wczorajszą rozmowę matki z panem Jerzym powtórzyły: oświadczenie profesora ze wszystkiemi szczegółami tak, jak pani Radzyńska powtarzała je kuzynowi — i każde słowo pana Jerzego. O czem jedna przepomniała, to pamiętała druga. Przyczem Adzia swoje wynurzała oburzenie: że stary, łysy profesor chciał ich kochaną, śliczną Jankę zaślubić — dodając: że pan Jerzy jak najzupełniéj jéj zdanie podziela.

Frania także, kręcąc główką, wyrzekła:

— Co też to jemu uroiło się! Nie byłabym tego myślała nigdy.

— Już to, mężczyźni wszyscy są zarozumiali, i sądzą, że zaraz sobie każdą kobietę zjednać potrafią! — zawołała Adzia, jak gdyby już wielkie pod tym względem doświadczenie miała.

Janina i Frania zaśmiały się.

— Adzio! — wymówiła pierwsza — gadasz, jak gdybyś starą panną była.

— Nasłuchałam się tego od panny Dubois, potwierdzała to i mama, i tak jest zapewne.

Gdy panienki udały się na lekcją muzyki, Janina następujący dopisek w swoim zrobiła liście:

Otóż i ta znikła mi już iluzya, że profesor bez interesu o moją oświadczył się rękę!... Uznał, że mam wykształcenie i rozsądek: że ożeniwszy się ze mną i mateczkę mojąc przy nas, miałby pensyonarzy.... i zwieyłby w dwójnasób swój dochód dotychczasowy!!... A więc i tutaj była spekulacya na moją osobę, na moje wykształcenie! Ta rachuba, to obliczenie wyzyskiwania tego mojego umysłowego posagu, by worek rublami napychać, naprawdę, wstręt wielki budzi i oburza!

Żal, żem uczucie przyjaźni poczciwego człowieka, mimowolnie, mimochętnie zadrasnęła — przenikał mnie cierpko. Ta jego spekulcya żal ten wszelako stłumiła, lecz nowéj do dawniejszéj dodała goryczy.

Och, młoda wiaro moja, urocza, piękna i święta, znikasz i toniesz w powszedniości bezdusznego świata, cień tylko smutny zastawując po sobie! Czemuż mnie tak wcześnie odbiegasz?! Ale tak zapewne jest lepiéj, bo długie złudzenie, większe jeszcze i boleśniejsze wiodłoby za sobą rozczarowanie! Winnam Opatrzności za to nieść dzięki! Nazwiesz mnie Mateczko, skeptyczką: i jestem nią, zaprawdę. Lecz mnie przerobili na taką, z dziewczęcia witającego całém sercem, całą puszą piękny świat Boży!... Tysiące miał dla mnie uroków i wszystko wieńcami mojéj zarzucałam fantazyi, tuląc je z miłością do serca! Dziś te wieńce suchemi sterczą liściami, a na każdym wypisane są cyfry!

Może są wyjątki i są zapewne! — może i wieńce takie dla kogo innego przechowają woń swoją, świeżość i barwę, ale nie dla mnie!

Julko, gdy ciebie ujrzę, pocałuję krój sukni Twojéj wołając: przebaczenia! Żałowałaś, teschnisz żałujesz Jodłowca!... A z mojéj winy pożegnałaś go na długo!

Wierzaj w Opatrzność, siostrzyczko jedyna!

W tym czasie, kiedy Janina powyższe w rozżaleniu kreśliła wyrazy, a panienki brały lekcyą na fortepianie, mozoląc się nad jakąś trudną sztuką na cztery ręce, pan Jerzy wszedł do pokoju pani Radzyńskiéj.

— Dzień dobry, kuzynce, wymówił — wracam z przechadzki, i przychodzę zobaczyć co porabiacie, i zapytać: czyli panie dziś niechcecie być w teatrze?

— Cóż tam będzie?

— *Linda*

— A to owszem.

— Zamówię lożę.

— Dobrze.

Pan Jerzy przerzucił leżące na stole książki.

— A cóż tam? — zaczął. Jakżeż panna Siewońska deklaracyą profesora przyjęła?

— Odmówiła od razu, nawet i słuchać nie chciała! A prosiła, błagała, by go o tém powiadomić co rychléj.

— Bardzo słusznie!... A czy wie już?

— Powiem mu, gdy przyjdzie po objedzie. Biedaczysko! Przykre to dla mnie zlecenie.

W téj chwili nadbiegły panienki po skończonéj lekcyi — a pan Jerzy pożegnał się: do widzenia!

Profesor spokojnie niemiłą przyjął odpowiedź. Zmarszczył tylko nieco czoło a potém wyrzekł:

— Zechciéj pani dobrodziejka oświadczyć pannie Siewońskiéj, mój wysoki szacunek i życzliwość niczem niezachwianą! Dziś, jakkolwiek boleśnie jéj odpowiedzią dotknięty, cenię ją wszelako wyżéj jeszcze: że nie chciała ręki oddać bez serca.

Od dnia tego profesor regularnie, jak zawsze, na lekcye przychodził, ale na herbatach nie bywał więcéj.

VIII

Boże! zdejm z mego serca jaskółczy niepokój,
Daj życiu duszę i cel życiu wyprorokuj.
J. S.

Na tydzień przed świętami Bożego Narodzenia, zjechał pan Radzyński do Warszawy. Jego szczery i otwarty wyraz, pewna prawość cechująca go we wszystkiem, zjednały mu od razu przychylność Janiny. I on także, uprzedzony dobrze przez żonę i córki, rzetelną okazywał jéj życzliwość.

— A cóż to stało się profesorowi? — zapytał dnia trzeciego po przybyciu swojem—że teraz na herbatę nie zostaje?

Pani Radzyńska uśmiechnęła się i odrzekła:

— Oświadczył się o pannę Siewońską, odmówiła.. i odtąd przestał wieczorami bywać.

— Czy tak? Hm! Panna, postępując sobie rozsądnie, powinna była poczciwego nie odrzucać człowieka, któryby ją szanował i jéj przyszłość zapewnił.

Pan Jerzy, obecny téj rozmowie, nagle powstał i przeszedł się po pokoju.

— Nie miała przekonania — odrzekła pani Radzyńska, —to i jakżeż ze siebie robić miała ofiarę?

— Prawda, że jest młoda, wykształcona, powabna ale cóż ją czeka? Był to poniekąd los dla niéj.

— Namawiać nie mogłam,

— To nie! Lecz potrzeba jéj było przedstawić wszystko, wziąść rzecz całą pod rozwagę. Ale moja jejmość, także tam jakieś czasem roi sobie romantyczne fantazye, i usmiechnął się.

— Wszakżeż przedstawiałam, lecz i słuchać nawet nie chciała!

— Baj bardzo!— Młoda bez rozwagi. Szkoda poczciwego człowieka, który miałby chleb dla niéj.

Pan Jerzy w milczeniu przechadzał się ciągle.

— Cóż ty na to, mój Jerciu? — zwrócił się pan Radzyński ku niemu.

— Co ja na to?... Nasamprzód nie jestem zwolennikiem owych tak nazwanych rozsądnych małżeństw...

— Bo i co?

— Uważam, że mężczyzna, żeniąc się dla pieniędzy tylko, popełnia podłość: zaprzedaje siebie i zostaje krzywoprzysięzcą, zdradzając kobietę, któréj miłość i wiarę zaprzysiągł. Dla kobiety, która się zaprzedaje... małżeństwo takie jest prostytucyą, albo też najboleśniejszą, krwawo-gorzkiemi łzami oblaną ofiarą, jeżeli się przez miłość dla rodziny swojéj poświęcić zmuszoną była: Przed taką, gdy w obowiązkach swoich, jako męczennica wytrwała, zginam ze czcią kolano... a lituję się nad nią, jeżeli upadła, dodał ciszéj. Myślę, że panna Siewońska takiéj ofiary przynieść nie potrzebuje.

— Szlachetnem jest twoje rozumowanie, mój Jerzy kochany, ale nie tak się dzieje. Ubogie chłopaki i dziewczęta bez posagu cóż mają poczynać? I takie małżeństwa bywają często szczęśliwe: miłość, przywiązanie znajdzie się po ślubie, zwłaszcza gdy był wzajemny szacunek.

— Nie chciałabym wszelako na taką liczyć miłość.

— Ty, bo za dobrą partją gonić nie potrzebujesz.

— *Heiress hunter'em* nie byłbym nigdy.

— Bo masz dosyć dla siebie, a nawet i dla żony.

— Tylko — zawołał Jerzy, cierpko krzywiąc usta — że mogę, niestety, przypuszczać także...

— Co takiego? — zawołała pani Radzyńska.

— Przypuszczać mogę, że nie każda która mi rękę swoją odda, uczyni to dla mojéj tylko osoby...

— Ach, ba! — mruknął pan Radzyński, a żona jego dodała:

— Cóż znowu za dzikie myśli!

— Prawdziwe!... Panienka uboga, z inną miłością w sercu, mogłaby mi dla losu swoją oddać rękę i uczyniłaby rozsądnie — pan Jerzy spochmurniał.

— Nie lękaj się tego!

— W sercach kobiet niełatwo czytać.

— Jak w którem.

— Tak, zapewne! Ale jedne bawią się w komedją, a drugie różne niewolą stosunki.

— Ej, kuzynku, z takiem rozumowaniem to i starym możesz zostać kawalerem! — zawołała pani Radzyńska.

— To i lepiéj jak kupić sobie domową niedolę.

— Ach, ach! Niedobre to rozumowanie!

— Ale, cóż tam przecie panna Klotylda? — uśmiechnął się pan Radzyński znacząco.

— Jest sobie bardzo piękną panną.

— To i co?

— Nie wiem, co więcéj.

— Pani Eleonora marzy tylko o tém, by ją swoją nazwać bratową.

— Ha! może jeszcze i przemówi serce, które milczy dotąd — zaśmiał się Jerzy. Panna Klotylda naprawdę jest piękną, wykszałconą, pełną wdzieku i powabów.

— I z dzwiękiem nielada! Że i nie miałbyś powodu lękać się iż tylko Żurawinszczyzna ją nęci.

— Kto to wie! — przepuścił Jerzy przez zęby.

— Sama bogata przecie!

— Prawda... za nią mówi wszystko. Ale, dotąd wszelako niebiańska iskierka zimnego nie roztliła mi serca. Być może, że poznawszy ją bliżéj. . i jeżeli do jéj serca przemówić potrafię.

— Jesteś dziwnie chłodnym i obojętnym— ozwała się znowu pani Radzyńska.

— Może innym pokażę się późniéj i Jerzy znowu przechadzać się zaczął.

— On pokocha raz a dobrze, i to po namyśle — wyrzekł pan domu.

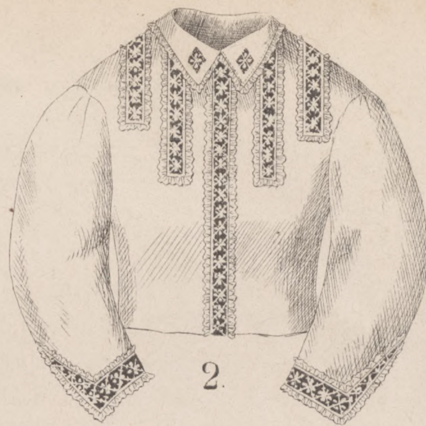
— Miłość po namyśle — pochwyciła małżonka jego — to jakby musztarda po obiedzie: *ce qui est spontane est du droit divin.*

— A my mówimy po polsku: co nagle to po djable!

— Otóż więc i ja nagłością nie zawinię! — zawołał Jerzy, rad z takiego zakończenia rozmowy, i o czemś innem mówić począł.

(d. c. n.)

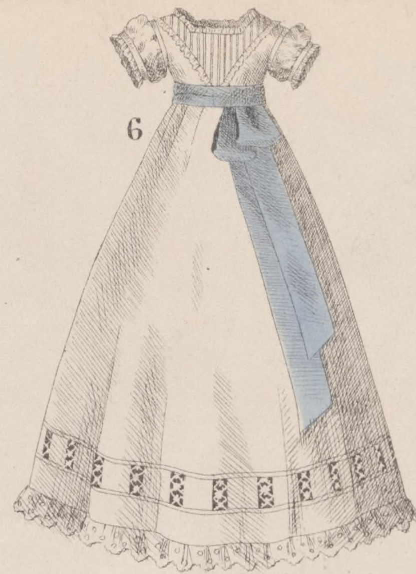










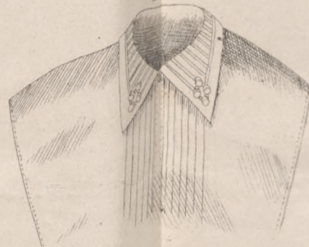






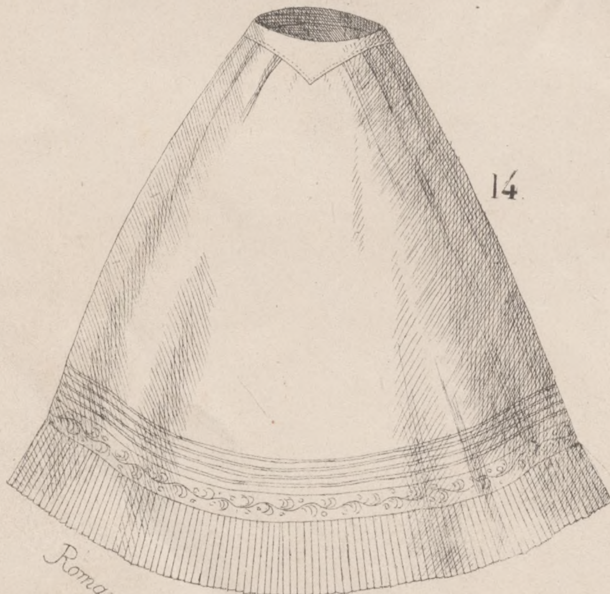








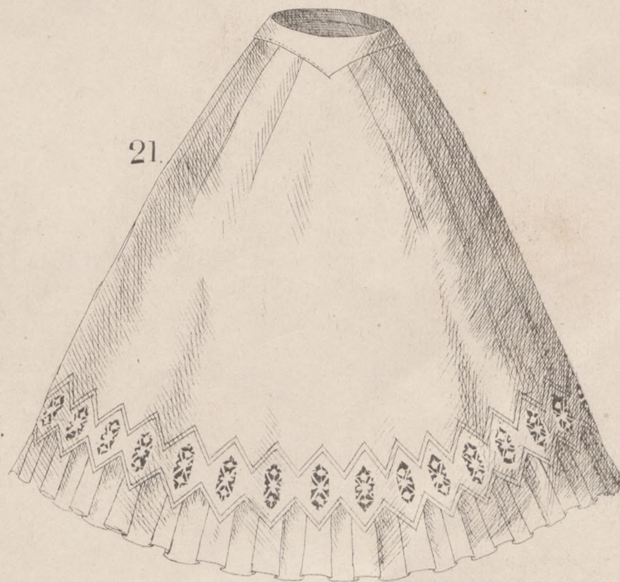


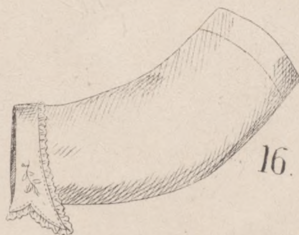
















I.17.

TYGODNIK MÓD

w Warszawie.